

Jest dobrze [FELIETON]

Sołżenicyn napisał gdzieś, że człowiekowi potrzeba bardzo niewiele do szczęścia: krąg bliskich osób, możliwość zapełnienia żołądka i dach nad głową. Zapomniał o wolności, więc dodam: potrzebne jest też przekonanie, że nie rządzą nami nasi wrogowie i że możemy okazywać wdzięczność tym, którzy uczyli nas mądrości. Bez reszty można się obejść – pisze Ewa Thompson w kolejnym felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Medialne newsy o koronawirusie i zmianach, do których wirus ten zmusza społeczeństwa, dadzą się streścić dwoma słowami: „jest źle”. Po czym następuje sugestia, że autor lub stronnictwo polityczne, które reprezentuje, wie, co zrobić, aby było dobrze. Wie, ale nie wdaje się w szczegóły. Oczywiście nie obywa się bez druzgocącej krytyki osób, które z racji zajmowanego stanowiska starają się walczyć z pandemią. Dziennikarz wie lepiej, co należy zrobić. Ciągłe mówienie o tym, że jest źle, generuje powszechną irytację. To trochę tak, jak stan podgorączkowy: niby choroby nie ma, ale wszyscy są skwaszeni, niezadowoleni. Ale złe wiadomości lepiej się sprzedają, więc to nimi zapełnione są szpalty gazet i ekrany telewizyjne,

Chciałabym jednak stwierdzić, przed Bożym Narodzeniem, że było i jest dobrze. Pamiętam życie codzienne w USA w latach 1960-tych. Podczas studiów mieszkałam w malutkim pokoiku w przybudówce do akademika. Było nas pięć w tej przybudówce. To była raczej komórka z oknem niż pokój. Łóżko, szafa ścienna, krzesło i stoliczek, łazienka. Nie było półek, kuchenki. ani miejsca na choinkę, którą niektóre z nas chciały mieć w czasie Świąt. Do tego dochodził problem z czytaniem np. Williama Faulknera, bo jednak angielski nie był moim pierwszym językiem.

Latem przeprowadziłam się do domku „dziekana od spraw kobiet” (tak, był taki tytuł, to były przed-feministyczne czasy, chodziło głównie o to, aby zapewnić bezpieczeństwo osobiste studentkom w domu

Chciałabym pokazać, że było i jest dobrze. Na przekór Wolterowi. Należałoby pisać więcej o ludziach, którym nie przeszkadza ograniczony dostęp do dóbr materialnych

akademickim). Ta pani wyjeżdżała na wakacje, ja byłam *homesitterem*. Jakość jej drewnianego domku nie przewyższała tego, co dziś widuje się w najbiedniejszych

houstonskich dzielnicach – tyle, że dom był porządnie utrzymany i czysty. Pani dziekan zarabiała ok. 9000 dolarów rocznie, moje stypendium wynosiło 2200 dolarów rocznie (łwia część tego stypendium szła na mieszkanie i wyżywienie). W domu była lodówka, płyta kuchenna, piekarnik. Nie było telewizora ani tych gadżetów, które obecnie posiada wiele amerykańskich gospodarstw domowych: zmywarki do naczyń, elektrycznego otwieracza puszek, specjalnego oświetlenia, niezliczonej ilości szafek ściennych, maszynki do mielenia odpadów w zlewie, gier komputerowych oraz olbrzymiego aparatu rozrywkowego z nagraniami muzyki popularnej i filmów. Podłogę pokrywało linoleum zamiast parkietu czy dywanów. W tym niewielkim miasteczku w stanie Ohio był jeden supermarket, do którego chodziłam piechotą – dwa kilometry w jedną stronę – były pewne problemy z dźwiganiem zakupów. Nie było europejskiego chleba, jedynie „puchate wapno”, czyli amerykański biały chleb „kanapkowy”, który jest moim zdaniem niejadalny, ale który wciąż można w sklepach spożywczych znaleźć (wraz z chlebem pełnoziarnistym). Jogurt można było dostać tylko w oddalonych od kampusu sklepach specjalnych, do których dostęp mieli szczęśliwcy posiadający samochody. Większość moich koleżanek nigdy jogurtu nie widziała i nie jadła – dla nich to było zepsute mleko. Od wielkiego święta zamawialiśmy pizzę i zapraszałyśmy na nią panią dziekan.

Ale już zaczynam schodzić na ton minorowy i dołączać się do chóru osób, które piszą, że jest źle i nie będzie dobrze, chyba że zrobimy rewolucję. Chodzi mi o coś odwrotnego: pokazać, że było i jest dobrze. Na przekór Wolterowi. Należałoby pisać więcej o ludziach, którym nie przeszkadza ograniczony dostęp do dóbr materialnych. Fakt, dzisiaj tzw. zachodnie społeczeństwa są bardzo podzielone – różnica między bogaczami i biednymi wciąż się powiększa. Mimo to zwykły pracujący

człowiek żyje lepiej niż pół wieku temu, a i wtedy żył nie najgorzej. Wprawdzie jego pensja (po uwzględnieniu inflacji) wzrosła bardzo niewiele, ale wynalazki techniczne, takie jak telefony komórkowe, mikrofalówki i komputery, ułatwiły życie wszystkim w sposób niewyobrażalny kilkadziesiąt lat temu. Warunki, w których żyli studenci na prowincjonalnych amerykańskich uniwersytetach w owych czasach byłyby dziś uważane za skrajne ubóstwo. Większość z nas nie wiedziała wtedy, że jesteśmy ubogie.

Fakt, różnica między bogaczami i biednymi wciąż się powiększa. Mimo to zwykły pracujący człowiek żyje lepiej niż pół wieku temu

W okresie pandemii wraca echo tamtych czasów. Jedzenie przestaje być wybieraniem tego, co lubimy i staje się połykaniem tego, do czego nie jesteśmy

przyzwyczajeni i co nakupiliśmy w pośpiechu podczas ostatniej wizyty w supermarkecie. Wychodzenie z domu na imprezy, chodzenie do kina jest niebezpieczne, stadiony i teatry zamknięte, więc donikąd nie jeździmy. Obiady w restauracjach skończyły się w marcu 2020.

Epidemiologowie nakazują nam spędzanie świąt wyłącznie w gronie tych osób, z którymi dzielimy mieszkanie czy dom na co dzień. Innymi słowy, wyjazdy do rodziny czy na narty są tabu. Nie wszyscy się do tego stosują – Ameryka wciąż jest społeczeństwem ludzi wolnych – ale przeczność przeważa u wielu.

Sołżenicyn napisał gdzieś, że człowiekowi potrzeba bardzo niewiele do szczęścia: krąg bliskich osób, możliwość zapełnienia żołądka i dach nad głową. Zapomniał o wolności, więc dodam: potrzebne jest też przekonanie, że nie rządzą nami nasi wrogowie i że możemy okazywać wdzięczność tym, którzy uczyli nas mądrości. Bez reszty można się obejść. Radosnych Świąt Bożego Narodzenia wszystkim.

*Ewa Thompson
Rice University*

Przeczytaj inne felietony Ewy Thompson z cyklu „Widziane z Houston”

